

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego
TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

TYDZIEŃ UBIEGŁY W POLITYCE I LITERATURZE

NIEDYSKRECJE:

Krwawy zamach na premiera Waldemarasa	306
Wybory angielskie zbliżają się	"
Jak wyglądać będzie przyszły rząd Wielkiej Brytanji	"
Odpowiedź tym, którzy fałszywie przedstawiają stan rzeczy w Polsce	"
PO TEJ I PO TAMTEJ STRONIE GRANICY— st. p.	307
SKANDAL FINANSOWY W HAKACIE	308
JAK PRIMO DE RIVERA ROZUMIE „WOLNOŚĆ PRASY”?	309

„GŁOS PRAWDY“ LITERACKI

O katedrę polskiej literatury współczesnej — <i>Dr. Hanna Huszcza-Winnicka</i>	310
Goethe — <i>Roman Brandstaetter</i>	311
Ceglany dom — <i>Juljusz Kaden-Bandrowski</i>	"
W orbicie Patosu III — <i>Henryk Drzewiecki</i>	313
Jeszcze o akademjach — <i>Dr. Edward Boyé</i>	314
Napoleon i Foch a Polacy — <i>T. Gleyden</i>	315
Nowe drogi poezji niemieckiej — <i>I. Bergman</i>	316
O szkoły dla bibliotekarzy w U. S. A. — <i>Ludwik Ron</i>	312
Don Kichot Cervantesa na tle swojej narodowości — <i>Edward Boyé</i>	318
Odpowiedzi	320

NIEDYSKRECJE

KRWAWY ZAMACH na premiera litewskiego Waldemaras symbolizuje całą grozę sytuacji, w jaką wtrąciła Litwę nie-poczytalna polityka jej dyktatora. Na bagnetach można się oprzeć, ale nie można na nich... siedzieć, a tę sztukę właśnie chce pokazać światu p. Waldemaras. Za wyjątkiem oddanej mu kamaryli wojskowo - urzędniczej, ma on przeciw sobie niemal jednolity front opinii publicznej na Litwie. Trzyma się terrorem, który zmusza go do wprowadzania represyj za represjami. Kto jest przeciw niemu, ten zostaje postawiony poza nawias prawa. Ostatnio ofiarą dyktatora stała się cała partja socjaldemokratyczna, zresztą bardzo umiarkowana, którą ogłosił za nielegalną. Prasy niemieckiej nie można pośadzić o brak bezstronności w stosunku do szefa zaprzyjaźnionego rządu. A jednak ta prasa, że wymienimy tu „Vossische Zeitung“ — twierdzi, że Waldemaras polityką swoją wywołał nienawiść dla siebie nie tylko wśród emigrantów litewskich i żywiółów socjalistycznych, lecz w szerokich kołach klerikalnego mieszczaństwa a nawet w łonie własnego obozu, który ma dosyć jego samowoli. Nienawiść ta jest tak silna, zdaniem wspomnianego pisma, że w różnych sferach można byłoby doszukiwać się impulsu do aktu rozpaczy, jakim był krwawy zamach. Jak widzimy, nie pomogła więc Waldemarasowi spekulacja na rozpętanie szowinizmu antypolskiego pod hasłem wileńszczyzny. Pobity na terenie zagranicznym, jako zawalidroga pokoju, grzęźnie coraz bardziej pod ciężarem błędów swej polityki wewnętrznej. Nie jest przypadkiem, że właśnie Waldemaras, który doprowadził kraj swój na brzeg ruiny i anarchji, jest sztandarowym mężem garstki fanatyków kowieńskich, sabotujących pokój z Polską. Te dwie rzeczy łączą się ze sobą nierozdzielnie.

WYBORY ANGIELSKIE ZBLIŻAJĄ SIĘ. 10 maja został rozwiązany parlament, 20 maja upływa termin zgłaszania kandydatur, 30 maja odbędzie się głosowanie. Rozgrywka między dwiema rywalizującymi partjami — Labour Party i konserwatystami — o większość w izbie odbędzie się przy energicznym udziale liberałów, którzy odgrywać będą wdzięczną rolę „tertii gaudentis“. Wynik wyborów okryty jest mgłą niepewności, zwłaszcza, że po raz pierwszy w tym roku stanie do urn 5 milionów niewiast, w wieku od 21 do 30 lat. W rękach tych wyborczyń leży właściwie los przyszłego parlamentu. Londyński „Daily Express“, pragnąc zorientować się w nastrojach kobiet-wyborczyń, przeprowadził w szeregu okręgów ankietę, której wynik nie przyniósł wszakże żadnych sensacyj. Odpowiedzi przyszłych wyborczyń, wśród których przeważały robotnice, panny sklepowe, nauczycielki, maszynistki, studentki i służące, nie zdradzają entuzjazmu dla świeżo zdobytych praw. Gdyby przedwojenne sufrażystki z miss Pankhurst na czele mogły przewidzieć nastroje, jakimi opanowane będą wyborczynie w roku 1929, prawdopodobnie nie byłyby z takim zapalem żądały równouprawnienia politycznego poci pięknej. Większość bowiem nowych wyborczyń odnosi się do głosowania najzupełniej obojętnie. Trzecia część ich oświadcza, iż w wyborach wogóle nie weźmie udziału, większość zaś pozostałych szczerze wyznaje, że odda swe głosy na stronnictwo, za którym głosować będzie mąż, ojciec lub... narzeczony. Niewielki zaledwie odsetek jest takich, które głosować będą z przekonania.

JAK WYGLĄDAĆ BĘDZIE PRZYSZŁY RZĄD WIELKIEJ BRYTANJI? Zagadnienie to jest trudne do rozwiązania. Dokonywane zakłady o wynik wyborów, świadczą o słabej nadziei na walne zwycięstwo konserwatystów. Trzy koncepcje są brane w rachubę. Jeśliby konserwatyści uzyskali nieznaczną większość głosów, byłiby zmuszeni paktować z liberałami. Podstawę do zawarcia koalicji antysocjalistycznej stanowiłaby następująca platforma: energiczna polityka pokojowa i rozbrojenia, zwalczanie bezrobocia oraz reforma ordynacji wyborczej, polegająca głównie na wprowadzeniu wyborów ściślejszych. Ostatni punkt programu koalicji stanowiłby znaczne ustępsztwa na rzecz liberałów, to też skrajni „die hards“ — lord Salisbury, książę Northumberland i minister kolonij Amery — stanowczo sprzeciwiają się nie tylko koncesjom na rzecz liberałów, lecz wogóle wszelkim układom z Lloyd Georgem. Druga koncepcja — to koalicja liberałów z Labour Party, na wypadek, gdyby konserwatyści bezwzględnej większości nie zdobyli. Porozumienie obu tych stronnictw miałoby między innymi również na celu reformę ordynacji wyborczej. Jest jednak rzeczą mało prawdopodobną, aby koalicja taka dojść miała do skutku: zbyt wiele rozbieżności zaznaczyło się ostatnio między liberałami a socjalistami. — Wreszcie, wytworzyć się może w izbie taka sytuacja, że Labour Party — jak to już miało miejsce w 1924 roku — zostanie najsilniejszą liczbowo partją, nie posiadając, oczywiście, większości bezwzględnej. Zgodnie z tradycją angielskiego parlamentaryzmu, do władzy zostałby powołany gabinet robotniczy. Nie ulega wszakże wątpliwości, że rząd taki długo nie utrzymałby się u steru i że konserwatyści wraz z liberałami obaliliby go przy najbliższej okazji. Wówczas dopiero powróciłby do władzy gabinet konserwatywny i rządziłby przy pomocy „neutralnej“ opozycji liberałów.

ODPOWIEDZ TYM, KTORZY FAŁSZYWIE PRZEDSTAWIAJĄ STAN RZECZY W POLSCE. Jest rzeczą nader znamionną, że wówczas gdy opozycja po bezskutecznych atakach na rząd w dziedzinie polityki ogólnej, przerzuciła swe płonne wysiłki na teren ekonomiczny, gdy rodzime kruki pesymistycznie przedstawiają stan rzeczy w Polsce, ekonomiści cudzoziemscy bardziej bezstronnie zapatrujący się na panujące u nas stosunki gospodarcze i finansowe, nie widzą żadnego powodu do wydania niekorzystnej oceny. Angielski departament handlu zagranicznego wydał sprawozdanie sekretarza handlowego Legacji Brytyjskiej w Warszawie, p. Kimensa, w którym ten doskonały znawca stosunków handlowych w Polsce zwraca uwagę angielskiego świata handlowego na potężny rozwój rynku polskiego. Zaznaczając stałe polepszenie konjunktury w latach 1927 i 1928, autor sprawozdania dodaje, że „nie ma żadnych powodów do przewidywania pogorszenia się sytuacji w roku 1929“. Po dokładnem zobrazowaniu rozwoju ekonomicznego odrodzonej Polski p. Kimens pragnie przełamać nieufność finansistów i przemysłowców angielskich względem rynku polskiego, powstała wskutek nieznamomości stosunków lokalnych. Podkreślając wzrost produkcji polskiej, rozszerzenie pojemności rynku wewnętrznego, penetrację kapitałów obcych, zwłaszcza amerykańskiego, szwajcarskiego, belgijskiego i niemieckiego, autor zwraca uwagę na wyjątkowe geograficzne położenie Polski, stanowiącej bazę handlową dla państw bałkańskich, bałtyckich i wreszcie — dla Rosji. Sytuacja gospodarcza, w jakiej obecnie Polska znajduje się, stwarza wdzięczne pole dla nawiązania bliższych stosunków między Anglią a Polską. Oto są słowa obiektywnego widza.

PO TEJ I TAMTEJ STRONIE GRANICY

Gdy brutalna napaść opolska na przybyłych tam artystów katowickich zwróciła uwagę całej Polski na stosunki panujące w niemieckiej części G. Śląska, nie od rzeczy będzie może wspomnieć o artykule poświęconym mniejszościowym na Śląsku opolskim, jaki ukazał się ostatnio w monachijskiej „Allgemeine Rundschau”. Artykuł ten ma na celu wyjaśnienie niemieckiemu czytelnikowi konfliktu, jaki wynika z rozbieżności poglądów niemieckiego i polskiego na sprawę mniejszościową, przyczem autor artykułu widzi główną przyczynę tej rozbieżności w tem, iż Niemcy uważają t. zw. dwujęzycznych za Niemców, gdy przeciwnie Polacy zaliczają ich do Polaków. Stąd według danych niemieckich na niemieckiej części G. Śląska mieszka tylko 154.740 Polaków obok 373.503 dwujęzycznych, zaliczonych do żywiołu niemieckiego, gdy według polskich obliczeń Polaków, razem z dwujęzycznymi jest 528.243.

„Allgemeine Rundschau” nie starając się bynajmniej rozstrzygać, która ze stron ma tu słuszność, przechodzi wprost do spraw szkolnictwa, przyczem, opierając się na ustalonym odsetku dzieci szkolnych, równym 15.03% ogółu ludności, — wyprowadza, iż na podstawie niemieckich danych statystycznych do szkół mniejszościowych polskich powinno być uczęszczać 23.257 dzieci polskich, gdy, biorąc za podstawę polskie obliczenie, dzieci tych powinno być 79.395.

Tym teoretycznym wyliczeniem przeciwstawia dalej tygodnik monachijski dane faktyczne co do liczby szkół mniejszościowych na Śląsku opolskim i liczby dzieci polskich, do tych szkół uczęszczających, a mianowicie:

Bytom	szkół	5	dzieci	140
Gliwica	„	5	„	71
Koźle	„	1	„	9
Oleśna (Rosenberg)	„	1	„	35
Opole	„	8	„	86
Racibórz	„	5	„	58
W. Strzelce	„	3	„	77
Zabrze (Hindenburg)	„	1	„	30
Razem szkół		29	dzieci	506

Następnie przytoczone dalej w artykule „Allg. Rundschau” liczby zgłoszeń o otwarciu szkół mniejszościowych, jak i liczby dzieci, uczęszczających do tych szkół w latach 1923 — 1926. Oto one:

Zgłoszenia liczby dzieci szkolnych*

	1923	1924	1925	1926	
Bytom	806	299	344	335	228
Gliwice	661	203	155	193	150
Koźle	281	—	1	25	20
Oleśna	308	—	39	45	41
Opole	1607	185	225	324	243
Racibórz	625	258	157	104	97
W.-Strzelce	679	157	131	140	99
Zabrze	275	120	143	109	64
Ogółem	5242	1222	1195	1275	942

Cyfry te uzupełnia dalej tygodnik monachijski uwagę, iż liczba dzieci, uczęszczających faktycznie do szkół mniejszościowych, stanowi zaledwie 2,1% liczby dzieci polskich, według obliczenia niemieckiego, 0,63% — według obliczenia polskiego, wreszcie 9,65% tej liczby, jaka uczęszczaćby powinna do szkół polskich, sądząc z liczby zgłoszeń przy zasadzie 1 szkoły dla 40 zgłoszonych dzieci.

Z kolei tygodnik monachijski przechodzi do zestawienia przytoczonych powyżej danych z liczbami dzieci niemieckich, uczęszczających do szkół mniejszościowych w Polsce, ustalając, iż odsetek w danym wypadku wynosi 73,3%.

Po tem ustaleniu danych cyfrowych po jednej i po drugiej stronie granicy, podnosi „Allg. Rundschau” różnice, jakie zachodzą pomiędzy położeniem socjalnym mniejszości polskiej na Śląsku niemieckim, stanowiącej element ubogi, zależny od pracodawcy — Niemca, z położeniem mniejszości niemieckiej na Śląsku polskim, stanowiącej właśnie warstwę posiadającą. To właśnie sprawia, że mniejszość polska na Śląsku niemieckim nie może, choćby pragnęła, zakładać własnych szkół prywatnych, jak jej na to prawo pozwala. Przeciwnie, mniejszość niemiecka w Polsce może, bo stać ją na to, utrzymywać tyle szkół prywatnych, ile tylko uzna za stosowne.

Cytując artykuł „Allg. Rundschau” w najpobieżniejszym streszczeniu, dodajmy, że istotnie z całą bezstronnością informuje on czytelnika o istotnym stanie rzeczy po tej i po tamtej stronie granicy. Żałować jedynie wypada, że głosy podobne tak rzadko pojawiają się w powodzi najpotworniejszych oskarżeń o ucisk narodowościowy, jakimi stale rozbrzmiewają czasopisma niemieckie wogóle pod adresem Polski.

st. p.

SKANDAL FINANSOWY W HAKACIE

Ostatnia niemiecka afery bankowa, wykrzywie olbrzymich nadużyć w berlińskim akcyjnym Raiffeisen-Bank. (Deutsche Raiffeisen - Bank A. G.), rozgałęzieniami swemi sięga do Gdańska i na polskie Pomorze. Berlińska ta instytucja była centralnym bankierem spółek pożyczkowych raiffeisenowskich w całych Niemczech, a od pokoju wersalskiego szczególną wagę przywiązywała do utrzymywania swoich dawnych stosunków na ziemiach zaboru pruskiego, które wróciły do Polski. Nietylko to, ale czyniono też w tej instytucji wszelkie starania, by te stosunki na ziemiach owych rozszerzyć, pogłębić i nadać im znacznie bardziej jeszcze poza zwykłe związanie hipotecznego wierzyciela do swego dłużnika wychodzące, aniżeli to już praktykowano przed odbudową państwa polskiego.

Jeśli już przed wojną działalność niemieckich instytucyj kredytu hipotecznego misternie wiązała się na ziemiach polskich z działalnością germanizacyjną, to obecnie wzgląd na ochronę „zagrożonej niemieckości” tych ziem wysunął się na plan najpierwszy. Ochrona ta niemieckiego stanu posiadania na Pomorzu polskiem i w Poznańskiem, szczególnie zaś aż do biegu Noteci, zwyczajem wszystkich poczynań hakaty przybrała najwyraźniejsze cechy akcji zaczepnej. Kredyty hipoteczne w tych polskich województwach udzielane są ze źródeł niemieckich wyłącznie właścicielom nieruchomości, którzy przyznają się do narodowości niemieckiej a pozatem dają pewność, że trzymać się będą zdala od wszelkiej polskiej pracy społecznej; kredyty płyną też obficie w celu nabywania przez takich Niemców obywateli polskich nieruchomości z rąk dotychczasowych właścicieli polskich.

Właśnie berliński akcyjny Raiffeisen-Bank był głównym ośrodkiem tej roboty na polskim Pomorzu i w Poznańskiem. Pozostałe na tych ziemiach niemieckie spółdzielnie kredytowe rolnicze, których powstanie było głównie dziełem grona około znanego Hugenberga skupionych osób, działają nadal jako ekspozytury tego banku. Tak samo biorą udział wybitny w tej akcji rolnicze spółdzielnie kredytowe gdańskie i kilka gdańskich banków. Czynności te są nie byle jakich rozmiarów. Bo obok sum czasami śmiesznie małych, wpisywanych do ksiąg hipotecznych pomorskich i poznańskich figurują o wiele gęściej wpisy na długi hipoteczne bardzo wysokie, aż do ćwierci miliona nie złotych, ale dolarów. Bo i to jest obecnie dla stanu tych ksiąg hipotecznych arcyznamiennie, że tylko rzadko kiedy dług zaciągnięty bywa w walucie polskiej, a jeśli taki wpis się znajdzie, to napewno bywa na korzyść wierzycieli prywatnych. Uderza i ta okoliczność, że często w rubryce wierzyciela znajduje się pewna firma bankowa holenderska. Jest to w rzeczywistości latorośl banków niemieckich, zasilana kapitałami niemieckimi i przez niemieckich dyrektorów prowadzona.

Kombinacji tej chycono się w Berlinie dlatego, bo własne fundusze Raiffeisenbank już nie wystarczały na prowadzenie interesów hipotecznych w Pol-

sce w takich rozmiarach, jakie inicjatorom akcji wydawały się konieczne. O ile zaś dawne stosunki usprawiedliwiały dalszą działalność w Polsce Raiffeisenbanku, o tyle tym wojującym spółdzielcom hakatystycznym było nie na rękę, aby inny bankowy kapitał niemiecki bez żadnej maski używał im swego poparcia. „Pożyczono więc sobie bankowej flagi holenderskiej. Urządzono nawet w zeszłym roku w Holandji emisję nowych obligacyj tego banku, zagwarantowanych przez jeden z gdańskich związków raiffeisenowskich; faktycznie walory te nabył cały szereg banków niemieckich, posiadających swe filje w Holandji.

Socjalistyczny dziennik gdański „Danziger Volksstimme” doniósł niedawno, że gdański konsern Raiffeisena przeprowadził z początkiem zeszłego miesiąca w zupełnej tajemnicy reorganizację. Niema najmniejszej wątpliwości, iż ta reorganizacja stała w związku ze sprawą berlińskiego banku raiffeisenowskiego. „Danziger Volksstimme” w przekładach gospodarki, prowadzonej w gdańskim konsernie przez nacjonalistów niemieckich, podała i ten szczegół, że 9 milionów marek ze źródeł niemieckich mimo przeznaczenia na poparcie niemieckiego rolnictwa na polskim Pomorzu i na obszarze w. m. Gdańska przekazano do... konsernu Huggenberga na poparcie niemieckiej propagandy filmowej. Warto by wiedzieć, z jakiego właściwie źródła niemieckiego pochodziły te miliony. Emisja holenderska, o której wyżej mowa, wynosiła 5 milionów guldenów holenderskich, a to prawie dokładnie równa się 9 milionom marek niemieckich.

Niektóre uwagi godne szczegóły o berlińskim Raiffeisen-Bank podaje Morus w ostatnim numerze berlińskiego tygodnika „Die Weltbühne”. Do niedawna generalnym dyrektorem tego banku był prawdziwy junker pruski p. Herman Adolf Christian Dietrich, właściciel dóbr rycerskich Metzelthin w Brandenburgji, geheimer Justizrat, od lat 25 poseł konserwatywny, członek stronnictwa niemiecko - narodowego, obecnie jeden z wiceprezydentów Reichstagu. P. Dietrich oprócz mieszkania służbowego w pałacu banku miał 100.000 marek rocznej pensji — wynagrodzenie nie dające się łatwo pogodzić z zasadami Raiffesena. Obok niego w banku działał poseł do sejmku pruskiego p. Seelmann - Eggebrecht, również nacjonalista.

Szczegół pełen pikanterji: p. Dr. Seelmann należał do wszystkich komisji, które w ostatnich latach prowadziły śledztwa parlamentarne w słynnych niemieckich skandalach finansowych Barmatów, Kutiskera, preussische Seehandlung i t. d. i był najsroższym z tych sędziów śledczych. Obecnie zaś wychodzi na jaw, że bank, w którym on sam wiedział o wszystkim, przez cały szereg lat fałszował swe bilanse, prowadził zapisy księgowo o fikcyjnych interesach, oddawał się transakcjom nic ze spółdzielczością rolniczą - kredytowa nie mającym wspólnego. Na takich interesach były oficer w armji Judenicza, niejaki Uraljew, „zarwał” bank raiffeisenowski na prze-

szło 20 milionów marek. Fałszywe weksle, fałszywe kwity depozytowe, fałszywe uwierzytelnienia stanów majątkowych były, zdaje się, prawie zwyczajowym „podkładem” milionowych kredytów, udzielanych w tym banku. Najciekawsze jest, że kiedy zarząd się zmienił, następcy panów Dietricha i Seelmana nie

zażądali od nich odszkodowania. A jeszcze ciekawsze, że mimo obecnie jednak rozpoczętego dochodzenia sądowego obaj ci panowie, a nawet i p. Uraljew oddają się najspokojniej swym zajęciom. Panowie Dietrich i Seelmann naturalnie przedewszystkiem „obronie zagrożonej niemieckości”.

JAK PRIMO DE RIVERA ROZUMIE „WOLNOŚĆ PRASY”?

W jednym z pism londyńskich ukazał się artykuł gen. Primo de Rivery, w którym szef rządu hiszpańskiego wyraża swój pogląd na rolę prasy w życiu państwa i na ograniczenia, jakim prasa w pewnych warunkach podlegać winna.

„Ja sam jestem”, oświadcza Primo de Rivera, „starym dziennikarzem. Byłem z początku współpracownikiem „El Guadalete” w mojem mieście rodzinnem — Jerez de la Frontera, następnie pisywałem do madryckiego „El Liberal”, wreszcie do „La „Nacion”. Nie jestem więc wrogiem dziennikarzy, — przeciwnie! Lecz interesy Hiszpanji stawiam ponad interesy prasy i obstaję przy tem, że wolność prasy winna być podporządkowana ograniczeniom, które stanowią rękojmię, że memu krajowi nie będzie się działa żadna krzywda.

Wolność prasy nie może być dogmatem ani aksjomatem. Powinna być rozpatrywana z punktu widzenia użyteczności dla sprawy narodowej. O ile zupełna wolność prasy, bez jakichkolwiek ograniczeń, jest pożyteczna dla interesów kraju, o ile przyczynia się do podniesienia poziomu moralności i kultury narodu, winna być nie tylko uszanowana, lecz uważana za niewzruszalny dogmat. Niestety, sprawa ma się często inaczej. Nadejdzie kiedyś dzień, gdy każdy będzie znał swój obowiązek i nie będzie czynił nic sprzecznego z narodowymi interesami. W dniu takim rządy będą musiały uszanować wolność prasy. Nie mam zamiaru wtrącać się do spraw innych krajów. Nie wszczynając więc w tej kwestji dyskusji, powiem tylko, że w niektórych państwach stan ten już istnieje. Ograniczę się tylko do mego kraju. W Hiszpanji jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od doskonałości, o której mówiłem”.

Następnie Primo de Rivera, w sposób gwałtowny atakuje prasę, jako potencjalny czynnik rewolucji, powołując się na jej rolę we Francji w r. 1830, i ciągnie dalej:

„Dopóki obdarzony jestem władzą, nie pozwolę, aby duch ten uzewnętrznił się i mógł narazić na niebezpieczeństwo porządek publiczny. Uważam bowiem, że jałowe dyskusje nad problemami politycznymi są robactwem, toczącym życie narodów. Jest przeto rzeczą zrozumiałą, iż dążę do usunięcia tego wszystkiego

z życia narodu hiszpańskiego. Zasadnicza różnica między Zgromadzeniem Narodowym a starym parlamentem polega na tem, że z nowej izby sprawy polityczne są zupełnie wyeliminowane. Dyskutujemy tylko nad kwestjami ekonomicznymi. Pragnąłbym, by pisma perjdyczne stanęły również na tem stanowisku i zamiast sporów politycznych poświęciły się sprawom ekonomicznym, społecznym, kulturalnym i t. p. Winny przyczynić się do podniesienia poziomu moralnego i kulturalnego, miast podniecać najniższe instynkty. Gazety nie powinny zajmować się propagowaniem niebezpiecznych hasel. Jeśli większość narodu sprzeciwia się dopuszczaniu do kraju agitatorów, winna też wystąpić przeciw pismom, które usiłują uprzykrzyć nam życie.

Od pierwszej chwili objęcia władzy wprowadziłem cenzurę rewencyjną. Z punktu widzenia technicznego stanowi to pewną przeszkodę; z drugiej jednak strony system ów wyświadczył pismom znaczną przysługę, stale bowiem są przestrzegane co do tego, jakie wiadomości wolno drukować i jakie należy wstrzymać. Gdyby cenzura rewencyjna nie istniała, dzienniki zamieszczałyby artykuły lub notatki, które pociągnęłyby za sobą czasowe lub stałe zawieszenie pisma.

Oczywista, że ten system cenzurowania nie może istnieć *ad infinitum*. Zgromadzenie Narodowe winno wprowadzić nowe prawo prasowe, wyraźnie ustalające prawa, obowiązki i odpowiedzialność dziennikarzy i pism. Ten statut prasowy nie będzie miał na celu prześladowania prasy, będzie tylko wymagał sumienności i dostosowania się do zadań kultury i moralności.

Jestem przeświadczony, że dobra gazeta przynosi więcej korzyści, niż pół tuzina szkół, lecz że zła — może wyrządzić większą szkodę od cyklonu. Byłoby więc absurdem, gdyby rząd jednakowo bezstronnie i obojętnie traktował te dwa rodzaje pism”.

Powyższe uwagi dyktatora hiszpańskiego o wolności prasy przytaczamy za pismem londyńskim, w imię zasady: *audiatur et altera pars*, jako typowy przykład tej racji stanu, która usiłuje zmodernizować potępione wzory przeszłości.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

O KATEDRĘ POLSKIEJ LITERATURY WSPÓŁCZESNEJ

I.

Jako niedawna jeszcze przedstawicielka studujących polonistykę na Uniwersytecie warsz., a tembardziej jako przedstawicielka tych, którzy specjalnie poświęcili się literaturze polskiej współczesnej — pozwałam sobie zabrać głos w tej niesłychanie palącej sprawie, którą pierwszy poruszył w artykule swym pod wyższym tytułem red. Kaden-Bandrowski.

Podczas całego niemal pobytu mego w Uniwersytecie, miałam sposobność odczucia tej wielkiej krzywdy, jaką jest brak katedry literatury polskiej współczesnej. Krzywda ta została wyrządzona nie tylko mnie, jako specjalnie zainteresowanej w tym dziale naszej literatury, lecz tym wszystkim, którzy studują polską literaturę wogóle. Brak wykładów i seminarjum z historii literatury polskiej współczesnej krzywdzi słuchaczy polonistyki i krzywdzi samą literaturą polską.

Mam wrażenie, że pod tem twierdzeniem znalazłoby się wiele aprobujących podpisów, zwłaszcza wtedy, gdy za argument posłuży odmalowanie istotnego stanu rzeczy panującego na Uniwersytecie — a więc pominięcie, lub zbywanie dodatkowymi uwagami tego olbrzymiego działu literatury polskiej — oraz gdy przedstawi się możliwie prosto i dokładnie najgłośniejsze walory i korzyści stworzenia osobnej katedry, temu działowi literatury całkowicie poświęconej.

Polskie piśmiennictwo współczesne nie ma dotychczas prawa bytu jako przedmiot samoistny, nie przemycany ubocznie i niechętnie na marginesie studjów władczo panującej literatury Polski niepodległej i porzoborowej, sięgającej mniej więcej do drugiej połowy XIX wieku. Dalszy ciąg tej literatury jest całkowicie sponiewierany i nie kandyduje do prowadzenia osobnych o nim wykładów oraz prac piśmiennych.

Wprawdzie — jeżeli przejrzymy spis lektury obowiązującej do egzaminu magisterskiego lub doktorskiego z polonistyki, — zobaczymy tam wymienione wśród dzieł literackich nazwiska takie jak: Wyspiański, Żeromski, Kasprowicz, Staff, Tetmajer i inni, a wśród prac krytycznych — nawet Stanisława Brzozowskiego. Jednakże ten dział literatury polskiej tak bogaty w wielkie utwory wielkich pisarzy — jest dosłownie na szarym końcu, *traktowany jak z łaski i pomijany niemal zupełnie*, gdy chodzi o wybór tematów do prac lub o pytania na egzaminie.

Zakres wykładów i zajęć seminaryjnych jest tak samo mniej więcej ograniczony jak w szkole średniej, to znaczy, że wciąga w swe koło historję literatury polskiej do Prusa, uwzględniając tylko większych autorów z pośród pisarzy „Młodej Polski”: Wyspiańskiego i Żeromskiego. Oczywiście podobieństwo zakresów litera-

tury polskiej na Uniwersytecie i w szkole średniej będzie polegało tylko na samem ujęciu i ustanowieniu ich granic oraz niemal na tych samych — dla nauki czy studjów dozwolonych nazwiskach z zakresu piśmiennictwa polskiego w końcu XIX i początkach XX wieku.

Samo przez się rozumie się, że różnica będzie polegała na sposobie podejścia i traktowania tego przedmiotu. Studja akademickie będą stały na wyższym poziomie naukowym, a sam materiał literacki będzie daleko obfitszy i bardziej szczegółowy, podczas gdy w szkole średniej wiele nazwisk a nawet kierunków pomniejszych literackich opuszcza się całkowicie.

Wniosek ten o podobieństwie zakresu granic literaturze polskiej w szkole i w Uniwersytecie bynajmniej nie jest wesoły dla tych, którzy w wyższej chociaż uczelni pragnęliby widzieć literaturę współczesną na należnym jej, samodzielnym miejscu.

Pozostają tu w cieniu wielkie i głośnie nazwiska pisarzy z drugiej połowy XIX w. i początków XX. Dzieła ich służą przeważnie do zacytowania tytułów w ogólnej chronologii utworów literackich pewnego określonego rodzaju, czy też o podobnym temacie, albo do przytoczenia wyjątków w jakiejś przygodnie nadarżającej się ku temu okoliczności.

Jednocześnie odgrzebuje się starannie z zapomnienia i oddali przeszłości różne przeciętne indywidualności lub utwory literackie z dawniejszej literatury polskiej i próbuje się rozdmuchać te nikłe iskierki w możliwie większe płomienie jakiejś wartości lub sławy. Ileż np. czasu, uwagi i studjów poświęca się łacińskim kronikom Wincenego Kadłubka (najpocześniejszego zresztą i najbardziej oświeconego w ówczesnej Polsce), a pomija się zupełnie milczeniem wywalczające nowe wartości literackie utwory bojowego pisarza Przybyszewskiego, o którego organie — krakowskim piśmie „Życiu” — pojęcie ma niewielu z pośród studujących polonistykę.

Powstaje więc tu pytanie — protest: dlaczego studja nad literaturą polską do drugiej połowy XIX w. stają się coraz bardziej szczegółowe, a z dalekich ciemnych jej obszarów wyłaniają się wciąż mniej znane lub zupełnie zapoznane nazwiska — a dlaczego studja nad literaturą współczesną skreślone są z programu ogólnych i większe i mniejsze nazwiska jej pisarzy śpią prosto za kurtyną zapomnienia lub obojętnego niedocenywania przez studentów polonistyki?

Polska literatura współczesna nie dopuszczona więc jest jako przedmiot wykładów. Czasami tylko zdolała się przemycić w postaci tematu do pracy piśmienniej. Zezwolenie jednak na taki temat bywa bardzo nie-

chętnie i z niezadowoleniem udzielane ze strony profesorów. Argumenty, które ci ostatni bronią swego nieprzychylnego literaturze współczesnej stanowiska, polegają przeważnie i głównie na zarzucie jej „płynności”. To znaczy, że literatura ta jest w stadium nieskrystalizowanem, że się ciągle staje, stwarza i kształtuje, nie pozwalając umieścić jej w pewnym określonym łożysku jakiegoś kierunku literackiego i doczepić nad nią sztyldziku z ustalonym raz na zawsze sądem krytycznym.

Płynną zaś i zmienną jest ta literatura dlatego, że pisarze jej żyją i tworzą jeszcze lub żyli i tworzyli doniedawna. W ten sposób niemożliwym staje się wyrobienie pewnego pojęcia ogólnego o całokształcie twórczości każdego z tych autorów. Lecz i śmierć nie pozwoli nam odrazu zorjentować się w jego spuściznie literackiej. Koniecznym tu jest warunek przeczekania, mniemania w czasie epoki twórczości danego pisarza. Do wyrobienia pewnego obiektywnego i bezstronnego zdania dopomóc musi rzut oka z perspektywy czasu, gdy kipiąca życiem twórczość stężeje i pozwoli jej wartościom wypłynąć na wierzch i oddzielić się od cech ujemych.

Gdyby jednak istotnie przejąć się takim stosunkiem do sztuki wogóle — jakże martwo i chłodno przedstawiałaby się jej wygląd w świetle krytyki. Znajdowalibyśmy się jakby na wielkim i uroczystym cmentarzu, gdzie w pięknych, niezmiennych sarkofagach lub w surowym murze katakumb spoczywają dzieła umarłych dawniej autorów, oznaczone krótszym lub dłuższym napisem, ten zaś byłby podwaliną do ustalenia pewnej „marki” czy opinii już bezapelacyjnie wydanej o pewnym dziele czy też o jego twórcy.

Lecz łatwo można dowieść, że mowy być nie może o czemś bezapelacyjnie i niezmiennie ustalonym w opinii krytyków, gdyż dotychczas żadne nawet arcydzieło nie może czuć się pewne w swym sarkofagu i może być stamtąd wydobyte przed sąd najmłodszych krytyków. Jako przykład wystarczy przytoczyć kampanję o „Pana Tadeusza”.

Płynność więc literatury „żyjącej” przeszkodą staje się tylko wtedy, gdy literatura ta, jak to do dziś dnia ma miejsce, nie ma swego historyka i krytyka w osobie specjalnie zajmującego się nią profesora, któryby kierował studjami tych słuchaczy polonistów, którzy mają się jej poświęcić. Jeżeli student taki wybierze temat z literatury współczesnej dla pracy piśmiennej (seminaryjnej czy magisterskiej), uzyskawszy wreszcie niechętną aprobatę profesora, staje się wówczas wobec tak olbrzymiego materiału, że umysł jego ogarnia kompletny chaos. Umysł ten bowiem, mający słabe jeszcze podłoże naukowej krytyki, musi oto samodzielnie i indywidualnie uporać się z tą całą gmatwaną pojęć, sądów i wartości literackich, rozsianych w licznych książkach. Pozostaje więc: albo zrezygnowanie z takiego tematu, albo poświęcenie się jemu całkowite z niesłychanym marnotrawieniem czasu wskutek braku wszelkich przygotowań i wskazówek.

Trzeciem zaś wyjściem z takiej sytuacji będzie jak najkategoryczniejsze żądanie stworzenia osobnej katedry literatury polskiej współczesnej.

Dr. Hanna Huszcza-Winnicka,

(d. c. n.).

GOETHE

*W winiarni Auerbacha „Pod kragłą Beczulką”,
malowaną na herbie wypelzłym lakierem
usiadłem; tu Mevisto hold składał ampułkom
razem z Sieblem, Branderem, Frochem, Altmayerem.*

* * *

*Tam ze stołów ściekały winnic reńskie plony
i burszom ogłupiałym szumiąły w czerepach;
oto schody skrzypiące i księżyc skulony
i w oknie zaklejonem strzęp lipskiego nieba.*

* * *

*Oto pod mokrym stropem te same sklepienia
pachnące chłodem beczek i zieloną pleśnią;
tu ogniem czarnoksięskim paliła się ziemia
i głośnie echo twoją rozbrzmiewało pieśnią.*

* * *

*Poeto, dziś w tych murach, mowy składach lichy
ku twym myślom marzeniem tęskniącym wylata
i czujnie duszą łowi pośród piwnic cichych
szepł najwyższej mądrości doczesnego świata.*

* * *

*I o miłość się modli czystą i zarliwą,
którąś ty w słowa zaklął, jak napój w winnicę,
i sprowadził w serc zimnych ciemność przeraźliwą,
w jak łzami przepojoną dziewczęcą łóżnicę.*

* * *

*I o twoje spojrzenie modli się w pokorze,
któremś witał blask słońca i groźny błysk gromu,
o twą sławę szczęśliwą szumiącą jak morze,
i o cichy zakątek wajmarskiego domu.*

* * *

*I o słów twoich wielkość, myśli niepojęte,
by mógł jak ty spokojnie na świat ten spojrzeć
i o życie, jak twoje wieczyste i święte,
chcąc, jak ty się uśmiechać i jak ty umierać.*

ROMAN BRANDSTAETTER.

CEGLANY DOM *)

Debüt pisarski p. Jerzego Kossowskiego (Zielona Kadra) zwrócił uwagę całej krytyki na tego pisarza, a ja ze swej strony, — ze strony fanatycznego zwolennika współpracy młodszych ze starymi, ciągłości w technice pisarskiej, w przekazywaniu zagadnień i problemów z pokolenia na pokolenie, czy choćby z dekady pisarskiej na dekadę — powitałem „Zieloną Kadre” gorącym entuzjazmem.

Drugi tom p. J. Kossowskiego, t. j. powieść p. Ł. „Kłamca” wzbudził we mnie cały szereg refleksyj, które podzieliłem się na łamach Dodatku Lit. „Głosu Prawdy” z czytelnikami. Śledząc pilnie postęp, czy

*) Jerzy Kossowski. Ceglany Dom. Nakł. Gebethnes i Wolff, Warszawa 1929.

rozwój pięknych uzdolnień p. J. Kossowskiego, zarzucałem młodemu autorowi z powodu „Kłamacy” brak konsekwencji w przeprowadzeniu tematu powieści, oraz pewną niewspółmierność w traktowaniu dzieła. O ile bowiem pierwsza część powieści (losy jednorocznika austriackiego polaka w taborach przy froncie) wyposażył jeszcze autor w bogate środki swego talentu, o tyle drugą część dzieła zgubił, czy zmarnował w zdawkowej lirycznej czułości.

Ostrzegałem wówczas p. J. Kossowskiego właśnie w imię świetnych jego uzdolnień pisarskich przed tego rodzaju „puszczaniem” tematu.

Trzeci tom J. Kossowskiego, powieść p. t. „Ceglany Dom” (powieść która ma mieć tom drugi) przyniosła mi w pierwszych swych arkuszach wielką, istotną radość artystyczną, w dalszym zaś swym przebiegu, — można to całkiem ściśle określić: od strony 61-ej aż do końca tego tomu, — najboleśniej rozczarowanie.

Nie można inaczej powiedzieć, jak tylko, że pierwszych kilkadziesiąt stron ostatniej powieści J. Kossowskiego sprawia zaszczyt autorowi. Krótkimi, doskonale maskowanymi motywami wprowadza nas autor nie tylko w charaktery poszczególnych osób, nie tylko w ową, tak dobrze, spokojnie, trwale wyczułą atmosferę wsi, czy raczej folwarku, lecz od razu wciąga nas w główny nurt powieściowego opowiadania.

Patrząc na właściciela folwarku starego ojca p. Zameycia, na jego milczący upór, na syna tego człowieka, młodego chłopca pełnego naiwnych namiętności; patrząc na córki p. Zameycia, sposób życia i pracy tych ludzi, — odczuwamy od razu, jakgdyby jakiś żywioł psychiczny, wykazany z wielką dyskrecją i subtelnością. Żywioł to groźny, przyziemny, pełen nieświadomości a uporu, miłości a gniewu, namiętności, lecz zarazem pracy. Żywioł, pełen — z punktu widzenia powieściowych konfliktów, — najlepszej, bo dyskretnej dynamiki.

Gdy pośród Zameyciów owych (dlaczegoż konieczne przez „y” i dlaczegoż z Litwy, — z Litwy, w sensie tajemniczości uporu i charakteru?) zjawia się sąsiad p. Wildecki wplątany w miłości i w miłość do obu panien Zameyciówien — mamy wrażenie niezbite, że autor rozpoczyna piękną, mocną nader grę powieściową: że skromne, twarde środowisko tych ludzi umota w konflikt obyczajowy żywotny i potężny, — konflikt pomiędzy pragnieniem życia a obowiązkiem, miłością siostrzaną a miłością męzczyzny, rozumem starego ojca — a pojęciem honoru danego środowiska.

I oto właśnie od chwili pierwiastkowego rozpoczęcia tych konfliktów — autor jakgdyby sam coraz śpieszniej uciekał ze stron powieści swej, jakgdyby sam porzucał swych ludzi, obdzierając ich z wszystkiego, co może stanowić ich krąsę, urok, siłę, czy wdzięk, — jakgdyby sam zaciskał swe postacie i włączał w ramy najlichszego, najpospolitszego konwensansu.

Gdy Zameycy ojciec zastrzelił amanta swej córki pana Wildeckiego, a potem sam popełnił samobójstwo, zabrakło (czyżby planując swą powieść, nie spostrzegł był tego autor?!) dwóch głównych bohaterów. Zabrakło przecież w tym momencie ludzi, mogących tworzyć ośrodki życiowego konfliktu.

Na miejsce tych ośrodków walki usiłuje Kossowski wprowadzić ideę pojednania, wyrównania, rzucenia mostów zgody nad tragicznie przelaną krwią. Niestety, — najpiękniejsza nawet idea, jak w życiu tak i w powieści, nie zdoła nigdy zastąpić żywych ludzi. Nie może też tego dokonać szlachetna choć bigoterją tchnąca idea przebaczenia p. Kossowskiego. Wciążą ona pozostałe postacie w coraz bardziej formalne i papierowe kompromisy, doprowadzając ostatecznie całą kanwę powieści do typowej łamigłówki, czy układanki, czy wzorku Numy i Pompiljusza.

Jakież to więc są te idee, czy też jedna wielka idea, dla których wyparł się p. Kossowski żywych konfliktów swego dzieła i mocnych, prawdziwie żywych ludzi?

Jest to właśnie idea „ceglanego domu”, lub nawet jakiegobądź domu wogóle (aby się tylko móc oprzeć plecami o ciepły komin swej lepianki) oraz idea ziemi, ściślej uzmysłowiona przez gminę, w której leżą oba folwarki, t. j. Złote.

O domu samym jako twórcy światopoglądu wiemy od Zameyciów niewiele. Że przybudowują, że w chwilach skupienia z patosem powtarzają — mój dom, nasz dom”. Charakterystykę główną pojęcia domu daje stary filozof wiejski, majster do wszystkiego niejaki Szczerbiński.

Mówi on: — „dom? Ino pracować i Panu Bogu dziękować. Ja to wiem, bom też w życiu na wozie był i pod wozem, a nigdy człek głowy nie tracił, bo wiedział, że w najgorszym razie, gdzie wróci? do domu! Tak, jak się kto plecami o własny piec nie oprze, to nigdy nie wie, gdzie ostatni raz głowę złożyć”.

Oto — wszystko.

O zasadniczej idei ziemi, — o powodach, potrzebie, czy też misji posiadania ziemi ma Kossowski jeszcze mniej konkretnego do powiedzenia: że ta ziemia żywi, że chce rodzić, że śpieszy się, lub opóźnia. Rzecz cała sprowadza się raczej do instynktownego (na tem kończy się Ceglany Dom) — „tu być. Tu być”...

Z owego „tu być” nie wynikają żadne związki dalsze. Ziemia, — poza plebanją i przelatującymi po niej na wiosnę baraszkującymi parkami młodzieży, jest — socjalnie rzecz biorąc, — całkiem dla p. Kossowskiego pusta. Jest jakby — niezamieszkała.

Wobec jednak tak namiętnie głoszonej przez autora prawdy o ziemi (tu być) rodzi się w czytelniku pytanie: *Po co tu być? względnie jakim tu być?*

Na pytania te „ziemia” i dom ceglany nie dają odpowiedzi, którąby świadomie i celowo rozwinął autor w postaciach swego opowiadania. Niestety jednak i dom ceglany i Złote mówią, — i to wbrew intencjom, czy ideałom autora — *jakim* być.

Jeżeli takim, jakich wychowały Dom Ceglany i Złote w powieści Kossowskiego, — to należy przeobrazić copędzej całe Złote i może nawet zburzyć Ceglany Dom, by nie wychowały tak kalekich i nieświadomych ciężkiego swego kalectwa ludzi.

Ludzie ci, — z domu ceglanego i „ziemi”, — nie mogą właściwie rozmówić się „po ludzku” ze sobą. Są to skryte milczki, ponurzy furjaci, nie zdający sobie nawet sprawy ze swej tępej dzikości. Ojciec, stary Zameycy, za błahe liturgiczne przewinienie wali syna swego kijem, wiązuje pasami i rzuca o głodzie do śpich-

rza. Dowiedziawszy się, że jedna z córek „uległa” sąsiadowi (który zresztą oświadczał się już o tę córkę) zabija „hańbiciela” (celował z przodu, długo, w czoło) a potem siebie. Syn tego dostojnego milczka, zła-pany na schadzce, wali drągiem organistę, ojca swej kochanki prawie „do śmierci”.

Ludzie ci w zasadniczych momentach swego życia, albo tłuką się drągami do nieprzytomności, albo strzelają do siebie, albo w chwili pokory łapczywie obcałowują się wzajemnie po rękach, wykonując te ponure praktyki z najgłębszą wiarą konieczności i powagi obyczajów.

Taki „dom ceglany” i takie „Złote” musiało doprowadzić do tego, że myśli za ludzi stąd wychodzących kto inny.

Kto?

Stary sługa i staruszek ksiądz. Cóż myślą i doradzają ci poczciwi staruszkowie? Nic innego, jak właśnie zbożny powrót do owych „zasad” domu i ziemi, zasad, które w danym wypadku złożyły się przecież na ten nieudały, ponury gatunek Zameyciów.

P. J. Kossowski nie mógł tego rodzaju ideologią sprowadzić powieści swej z drogi komunałów na drogę wielkich uczuć ludzkich. Komunały wytoczyły z tej pracy wszystką krew i zarysowanych dobrze ludzi zamieniły w papier. Autor „Ceglanego domu” musi więc dobrze, znacznie głębiej, niż dotąd przemyśleć sprawę domu i ziemi, musi ją skonfrontować z rzeczywistością życia jeżeli chce, by stronicę jego powieści tętniły życiem, nie zaś papierowym szeptem komunału.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

W ORBICIE PATOSU

III

Wydanie Biblioteki polskiej jest pierwszym zbiorowym wydaniem dzieł Wyspiańskiego. Nasuwa ono dwa zastrzeżenia zasadnicze, dotyczące sprawy układu graficznego i sprawy wstępów prof. Sinki.

Ad 1°. Wydanie A. Chmiela i T. Sinki można nazwać wydaniem standartyzowanym. Każdy z pięciu wydanych tomów obejmuje grupę dramatów, nie różniących się zewnątrznie niczem. Wiadomo jednak, że Wyspiański nader bacznie zwracał uwagę na exterieur swych dramatów. Wystarczy porównać jakikolwiek dramat Wyspiańskiego w pierwszym wydaniu, i w tem ostatnim zbiorowym, by przekonać się, jak mimo zachowania układu graficznego stronnicy, dramat ten stracił indywidualne oblicze graficzne. Wydawcy odpowiedzą, że takie ujednostajnienie, czy ze-standartyzowanie graficzne towarzyszy wszelkim zbiorowym wydaniom. Owszem, zasadniczo słuszne, ale nie w stosunku do Wyspiańskiego, który miał zupełnie odmienny od przeciętnego stosunek do swych utworów. Należało w tem wydaniu choćby oddzielić dramat od dramatu reprodukcjami okładek. Jest to ważne nie tylko jako akt pietyzmu dla dzieła zmarłego

pisarza, ale ważne również dla czytelnika, który zawsze woli mieć do czynienia z jednostkami, że je tak nazwę, dramatycznymi, niż z dramatycznymi ciągami. Chodzi tu nie o układ dramatów wedle pewnej koncepcji, bo ta w zbiorowym wydaniu jest konieczna, — ale o niesamodzielność tych dramatów. Chociaż ideałem zbiorowego wydania dzieł Wyspiańskiego byłby usystematyzowany zbiór przedruków pierwszych wydań, opatrzonych we wstępy i przypisy, połączone w oddzielne tomy. Dla czytelnika, zżytego z Wyspiańskim tom pięćsetstronicowy jego dramatów jest czemś zupełnie niezgodnym z Wyspiańskiego poczuciem ładu graficznego.

Ad 2°. Wstępy prof. Sinki nie spełniają w pełni swego zadania. Autor stosuje w nich tę samą metodę, której użył w „Antyku Wyspiańskiego”. O ile jednak metoda streszczeń kolejnych była w „Antyku Wyspiańskiego” uzasadniona, ponieważ w trakcie streszczania autor jednocześnie dokonywał analizy porównawczej, o tyle we „Wstępach” metoda ta zawiodła. Streszczenie jest niepotrzebne, skoro mamy o kilkadziesiąt stronic dalej tekst. Odnosi się wrażenie, że prof. Sinko uległ własnemu doświadczeniu, nie uświadamiając sobie głębiej zadań wstępu, zadań zupełnie specjalnych. W podobnym wstępie nie chodzi o spopularyzowanie poglądów Wyspiańskiego, ale o ich dokładne zlokalizowanie, naświetlenie, scharakteryzowanie, szczegółowe, precyzyjne. Praca ta została tylko częściowo przeprowadzona. Lwią część „Wstępów” zajmują właśnie streszczenia. Gdyby nawet trzymać się zasady prof. Sinki, o ileż właściwsze byłoby zebrać „Wstępy” w oddzielny monograficzny tom. Dałoby się to bez wielkiego trudu przeprowadzić w następnej drugiej edycji „Zbiorowego wydania”.

Niektórzy recenzenci zarzucali prof. Sinki, że niepotrzebnie wprowadził do „Wstępów” konstrukcje krytyczne, które mogłyby wywołać polemikę. Pogląd to niesłuszny. Mając do czynienia ze zjawiskiem nawet tak obiektywnym, jak biografia, krytyk musi zająć stanowisko indywidualne, zgodne z jego rozumieniem rzeczy. Cóż dopiero, gdy ma do czynienia z dziełami „Niezaskarżalnemi”, mogą być tylko przypisy, zbiór warjantów, doskonale zresztą dokonany przez Chmiela.

Zastrzeżenia powyższe dotyczą sposobu wydania, ale nie faktu wydania zbiorowego, faktu godnego najwyższego uznania. Potrzeba tego wydania, którego obecnie wyszedł już piąty tom, była niemal naoczna. Wyspiański jest dla inteligencji polskiej wciąż żywy jako artysta. Wystarczy porównać dwa specjalne numery „Wiadomości Literackich”, poświęcone pamięci Przybyszewskiego i Wyspiańskiego, — by przekonać się, że o ile twórczość Przybyszewskiego krytyka uznała za przebrzmiałą, za czcigodny dokument minionych uniesień, o tyle w Wyspiańskim znalazła przmiot wciąż nowych zainteresowań, nie potrafiła zszufladkować go bez reszty. O twórczości Wyspiańskiego można powiedzieć to samo, co powiedział Lacki o jego bohaterach: że ma cechy wyodrębnione, zupełnie określone, „lecz zawsze jakąś jedną stroną wymyka się ujęciu”.

Henryk Drzewiecki.

JESZCZE O AKADEMJACH

Zażenowani petenci. Przysłowiowe „nie teraz”. Akademja hiszpańska i „Junta de Relaciones Culturales”.

Jesteśmy narodem rzekomo ogromnie dumnym ze swojej kultury. „Wysoki, nadzwyczaj wysoki katafalk i karawan Wyspiańskiego lub Witkiewicza” — jest dowodem wielkiej czci i miłości, którą naród otacza swych arystów. Gdyby jednak ów, spoczywający na wysokim katafalku genjusz, ożył nagle, skazałby się bezwątpienia na tę samą tragedję powszednią i umarł przedwcześnie poraz drugi. Świat, złożony z „sytych wołów i wieprzów dwunożnych”, dyskontuje szybko po śmierci artysty maksymy i myśli, służące do pokrzepiania serc, pośmieciuchy dziennikarskie wycierają sobie cytatami gęby, a wydawcy, zacieraają ręce, czując, że już nie długo nie będą potrzebowali płacić honorarjum.

„Święta zgnilizna” — to najlepsza, à la Edgar Allan Poe kreacja Marinetti'ego. Groteska przechodzi w halucynację; koszmarem dręczącym staje się wizja żarłoków społecznych, pożerających się nawzajem. Partje polityczne są odzwierciedleniem społeczeństwa. Walczą jedna przeciwko drugiej, wydzierając sobie z łap tłuste kąski. Wśród nich przesuwają się zalękniony poeta, ten „Idjota” przysłowiowy. Wyszadzany, popychany, maltretowany, nie śmie podnieść głosu w swojej obronie, a skoro już to uczyni, zdumienie ogarnia nie tylko mężów konsularnych, ale i wszystkie świny triumfujące. Mąż konsularny bowiem, jak również i świna triumfująca muszą mieć jaknajlepsze warunki potrzebne im do życia, artysta zaś w imię swej wzniosłości, winien żyć jak Arjel, żywiony w najlepszym razie ochłapami, rzuconemi ze stołu, przy którym wszystkie miejsca są zajęte. Gdy już zdecydować się upomnieć o swoje prawa — zaczyna się, według p. Irzykowskiego „zaszczepianie sobie odpowiedniej dogodnej ideologii, tak, że w rezultacie człowiek taki jest subiektywnie czysty i ze spokojnem sumieniem głosi to, co za swoją prawdę uważa. Jednak pozostają w jego sumieniu pewne niedociągnięcia, szpary, czy dystynkcje...” Skrupulatność, skromność, zażenowanie, hypertrofja delikatności („Obawiam się, że pojawi się przypuszczenie jakobym”) i ten wieczny lęk, aby tylko nie być posądzonym o chciwość pieniędzy i zaszczytów. W roku zeszłym pisał na tem miejscu nie bez słusznej goryczy Kaden-Bandrowski: „Tyle lat walczyłem publicznie o minimum opłaty za wierszowe, o nagrody literackie, o stypendja dla pisarzy, a jednak przez cały czas tej walki atakowali mnie koledzy, niejednokrotnie korzystający właśnie z wywalczonych dobrodziejstw — jako najchciwszego świadceń, zaszczytów i stypendjów”. Dzieje się to wówczas, gdy rzecz wstydliva: ubóstwo ludzi piszących, jest tajemnicą publiczną, o której mówi się pochichu ciągle, a głośno wówczas, gdy już ten i ów na lepszy świat się przeniesie. Śnać jednak ci „ludzie ubodzy” tak już do stanu swojej nędzy przywykli, że ostrzegają go zazdrośnie przed zamachami śmiałków, wal-

ozących o lepsze jutro. Grand-seigneurstwo w łachmanach! Wszystko, co jest manifestacją słusznych praw swoich, uchodzi za tupet, za ohydny żebraniec i „obrabianie szafarza”. Przedewszystkiem nie żebrania. Pisarz, twórca kultury, który nie pozwala, aby naród stał się dobrze odkarmionem i zadowolonym ze siebie bydlętem — nie żebrze, tylko się domaga. Że te domagania uporczywe, wydają się czasem natrętne i pełne tupetu — to już wina nie petentów, ale państwa. Państwo bowiem udaje, że nic nie słyszy, albo też usłyszawszy, tłumaczy się: Dobrze, ale nie teraz! Jeszcze spuszczenie jednego torpedowca na morze, jeszcze przyznanie dodatkowych kredytów dla wielkiego przemysłu, jeszcze budowa dwóch szós w koziegłowskim powiecie. A gdy już torpedowiec spuszczone został, kredyty przyznane, a szosy ukończone, zjawiają się nowe pilne potrzeby, dzięki czemu owo „nie teraz” zaczyna raczej wyglądać na „nigdy”. Zresztą, jakże możemy myśleć o Akademji, skoro brak nam jeszcze tyłu, a tyłu szkół elementarnych? Włochy jednakże mają także analfabetów, Włochy także budują szosy, spuszczaają na morze krążowniki, nawadniają Sycylię, przeprowadzają olbrzymie inwestycje w zdobytych po wojnie prowincjach — a jednocześnie mimo swych „pilnych potrzeb” tworzą Akademię. Sztuka, godna wielkiego narodu — powiedział Mussolini — potrzebuje dwóch rzeczy: żelaznej organizacji i olbrzymich zasobów materialnych”. Skoro o człowiek, stojący na czele państwa, sam te rzeczy rozumie, nie potrzebne już jest „obrabianie szafarza”. Oczywiście, nie obyło się i tam bez walki, wobec której nasze kawiarniane dysputy, polemiki, i porachunki wyglądały i wyglądają dość blade. Program futurystyczny, będący pierwszą manifestacją śmiałych żądań artystycznych został narzucony społeczeństwu siłą, i to dość brutalnie. „Rewolucja wybuchła w Parmie — pisał Marinetti. Policja przerwała wiec futurystyczny. Łańcuch piechoty zamknął wyloty ulic. Nastąpiły nieskończone aresztowania. Z za zielonego tła drzew wynurzyły się pióropusze bersaglierów. Wrzaski trąb rozdarły powietrze... na trzęsących się ze strachu piersiach komisarzy policji rozkwitły tęcze trój-kolorowych wstęg... szarżowała konnica”. Co kraj to obyczaj! U nas zalęknieni i wiecznie zażenowani petenci, tam śmiałcy, którzy, wyszedłszy „nadzy ze strumienia czasu” głoszą hasło, że „Tworzyć trzeba żyjąc, nie umierając”. Ich mało kurtuazyjne postępowanie wydałoby się szanownemu autorowi Pałuby — już nie typetem chyba, ale ordynarnem, rozpętanem chamstwem. Przeciwnicy Akademji literatury polskiej powoływali się na strupieszalność i skostnienie Akademji francuskiej. Szkoda, że w polu widzenia leży tylko to, co się dzieje nad Sekwaną. Teraz jest Rzym, przedtem zaś, dawno już przedtem był Madryt, a za oceanem Rio de Janeiro. Hiszpanja od lat posiada swoją Akademię literatury, posiada ją także Brazylja. Nie będę tu dla braku miejsca podawał statutów, przypominających w ogólnych zarysach statut francuski, czy włoski. Dowodem żywotności instytucji hiszpańskiej są jej olbrzymie, epokowe prace: wielki, obejmujący wszystkie dialekty słownik języka, słownik kastylijskie dla hispanoamerykanów, teksty krytyczne klasyków, z Cervantesem na czele, gramatyki i grube foljały, poświęcone literaturze i historii kra-

ju. Prócz tego Akademja hiszpańska ma jedno, wiecznie żywe zadanie: podtrzymywanie kultury kastylijskiej w krajach łacińskich za oceanem, zacieśnianie związków intelektualnych, które dziś są jedynymi związkami, łączącymi metropolję z dawnymi kolonjami. Hiszpanie, ogromnie dumni ze swej kultury i języka, którym mówi kilkanaście krajów za Oceanem, robią wszystko w tym kierunku, aby zapewnić mu szeroką ekspansję i w Europie. Na posiedzeniu rady ministrów w r. ub. w Madrycie przeszła jednogłośnie uchwała, dzięki której każdy zagraniczny hispanista, zwróciwszy się do „Junta de las Relaciones Culturales”, otrzymuje bezpłatnie wszystkie teksty i dzieła, potrzebne mu do jego pracy. Instytucja „Junta de Relaciones Culturales” jest departamentem ministerstwa spraw zagranicznych. Departament ten w pierwszym roku istnienia został wyposażony przez państwo w sumę 500.000 pesetów. (około miliona złotych). Pieniądze te przeznaczył rząd na naukę hiszpańskiego zagranicą i na wymianę naukową i literacko-artystyczną między Hiszpanją a innymi narodami (à la ensenanza espanola en el extranjero y al intercambio científico, literario y artístico de España y los demás naciones).

Minister oświaty, José de Yanguas Messia, rozsyłający hispanistom zagranicznym, odnośny dekret królewski, tak tłumaczy potrzebę tej instytucji: „Rządowi Jego Królewskiej Mości chodzi o zwiększenie zainteresowania się naszą kulturą zagranicą i o ustabilizowanie związków kulturalnych między Hiszpanją a innymi krajami, umysłowe życie których wzbogaci naszą cywilizację, dając jej wszystko to, co nosi miano postępu ludzkiego, w tej szlachetnej i idealnej sferze, gdzie duchowa współpraca jest najłatwiejsza (incorporando a ella todo lo que sea avance de la Humanidad, en la noble zona ideal donde más fácilmente pueden coincidir los espíritus).

Minister De Yanguas Messia kończy: „Te nowe i światłe horyzonty w pokojowym współżyciu narodów nie mogą nie zainteresować pańskiego Rządu (No podía dejar, Señor, de preocupar igualmente al Gobierno de V. M., este horizonte nuevo y luminoso en la vida de pacífica relación de los pueblos).

Nie wiem, czy one zainteresują istotnie, i czy rząd nasz powoła wreszcie do życia jakąś instytucję, która będzie mogła na te uprzejme oferty odpowiedzieć. Dotychczas wszystko polega u nas na prywatnej inicjatywie jednostek. Tą drogą robi się przypadkowa, niewystarczająca propaganda. Państwo, wydające miljon złotych rocznie na „Junta de Relaciones Culturales” oprócz budżetu na Akademię, pozwolić sobie może oczywiście na propagandę nieco lepszą. To wszystko dzieje się w Hiszpanji, będącej, według słów Ibaneza „żebraczką, drzemającą u wrót kościoła”. Czy zatem opowiadanie o naszej przysłówkowej nędzy polskiej, — jeśli chodzi o fundusze na Akademię — nie jest tylko opowiadaniem?

[d. c. n.).

Dr. Edward Boyé.

NAPOLEON I FOCH A POLACY

Rękopisy Napoleona w polskich rękach.

W kwietniowym zeszycie „Revue des deux Mondes” ukazał się artykuł prof. S. Askenazego, poświęcony pierwszemu zapoznaniu szerokich sfer czytających i Francji, i czytelników starego i nowego świata, skoro tytuł ukazującego się od 99-ciu lat paryskiego przeglądu w zupełności odpowiada jego poczytności, — z niewydanymi dotychczas i z pobieżnych tylko opisów znanymi rękopisami autentycznymi młodego Napoleona Bonaparte.

Trafiły one do Polski dzięki zamiłowaniu naukowym i bibliofilskim zasłużonego w tej dziedzinie twórcy biblioteki w Kórniku, hr. Tytusa Działyńskiego, który nabył je prawdopodobnie od dr. Antommarchi, świadka ostatnich chwil życia cesarza Francuzów. Zachowały się te cenne autografy w rękach Działyńskich do czasów obecnych, a od r. 1925 wraz ze wszystkimi zbiorami kórnickimi przeszły pod zarząd Państwa Polskiego.

Zwrócił na nie uwagę prof. Askenazy już przed wojną, ale dopiero w 1919 r. częściowo z nich skorzystał w dziele „Napoleon i Polska”. W dziesięć lat później — w tych dniach — ukażą się te bezcenne pamiątki w wydaniu wspaniałem, świadczącym o tem, jaką wagę przywiązuje Polska do wszystkiego, co stanowi świadectwo wdzięcznej pamięci o wielkim człowieku, który przyszedł jej z pomocą w latach niedoli.

Papiery te stanowią: „Note politique sur la République de Gênes”, z r. 1794, „Note sur le parti que l'on peut tirer de l'artillerie de l'armée de l'Ouest”, z tegoż roku, i — dość niespodziewanie — mały romans autobiograficzny „Clisson et Eugénie”, powstały na tle miłości do Eugénie — Desirée Clary, przyszłej królowej szwedzkiej.

Kórnickie autografy Napoleona to pierwszorzędne dokumenty, rzucające wiele światła na żywot publiczny i życie prywatne Napoleona.

Studjum do dziejów „drugiej wojny polskiej”.

Tak nazwał sam Napoleon kampanję 1812 roku. O udziale Polaków w decydującej „bitwie o Moskwę” obszerne studjum historyczne generała Kukiela ogłasza w styczniowym i lutowym zeszycie b. r. „Revue des Etudes Napoléoniennes”.

Studjum dotyczy właściwie tylko roli w tej bitwie korpusu 5-go, pod dowództwem ks. J. Poniatowskiego i wykazuje, że mając przed sobą przeważającego w siłę ludzką i artylerję przeciwnika, korpus ten był się wytrwale i dzielnie, a wysiłek jego ocenił Napoleon, wymieniając daleko później, na św. Helenie, trzech bohaterów tej bitwy: Murata, Neyą i Poniatowskiego.

Studjum o udziale Polaków w rosyjskiej kampanji Napoleona pogłębia i oświetla jeszcze lepiej dzieje francusko-polskiej współpracy wojennej.

Koledzy Focha z ławy szkolnej.

Śmierć wodza armii koalicyjnej wywołała w Polsce odruch w postaci masy wspomnień, przyczynków, notatek i t. d. w prasie o stosunku wielkiego zmarłego do Polski, do jej przyszłości, do jej roli obecnej jako sojuszniczki Francji. Wiele w tych informacjach było wiadomości już dobrze znanych, przez powtarzanie wielorakie zlekką może zdeformowanych i obracających się wyłącznie w granicach najślawniejszych lecz również i najpóźniejszych lat życia spadkobiercy napoleońskiej tradycji militarnej.

Ciekawy bardzo przyczynek do kwestji daleko wcześniejszych okoliczności, jakie mogły mieć wpływ na kształtowanie się opinji przyszedłego marszałka Polski o polskim narodzie, przynosi artykuł Jana Narkiewicza Jodki p. t. „Polscy koledzy marszałka Focha w kolegjum St. Clement w Metz” („Słowo Polskie”, nr. 89, 31.III). Autor, jeden z bardzo nielicznych żyjących jeszcze Polaków, którzy między 1863-im a 1870-m rokiem studjowali w tym zakładzie naukowym, kierowanym przez OO. Jezuitów, do bawiącego we Lwowie marszałka Francji mógł zwrócić się ze słowami: „Witaj kolego lat młodzieńczych, spędzonych w Saint Clement!”

J. Narkiewicz Jodko, jak dowiadujemy się z tego artykułu, koresponduje z ks. Kurtzem, mieszkającym w dawnym kolegjum w Metz i opracowującym monografię byłego kolegjum, w którym ilość Polaków wychowanków tego zakładu naukowego w latach 1863—70 dosięgała cyfry 60-ciu, byli to przeważnie synowie ziemian, niemal wszyscy z b. zaboru rosyjskiego i niemieckiego, paru zaledwie z Galicji. Autor artykułu wymienia z nazwisk i imion 43 młodych ziomek, którzy kształcili się w St. Clement równocześnie z marszałkiem Francji i dodaje melancholijnie: „o ile nam wiadomo ze wszystkich kolegów Polaków wyżej wymienionych zostało nas przy życiu trzech”.

W spisie tym figuruje znany historyk Kazimierz Waliszewski.

Tak powstaje dla historii polsko-francuskich stosunków w ubiegłym wieku pytanie, które p. Jodko formuluje następnie: „Śmiem przypuszczać, iż młody Foch stykał się nieustannie z Polakami i stąd wyniósł te przychylne i serdeczne usposobienie, jakie żywił dla Polski... Czy pobyt kilkuletni wśród kolegów Polaków, obcowanie z nimi codzienne nie przyczyniły się w wielkiej mierze do obudzenia w nim ku nam sympatji?”.

Wspomnienia malarza o modelu.

Wojciech Kossak portretował marszałka Focha w siedzibie jego bretońskiej w Troisfontaines i jak twierdzi, „jeżeli miałem szczęście przypaść marszałkowi do gustu, to przez moją znajomość i kult dla wielkiej epopei, a może i przez obrazek z Częstochowy, który zawsze jeździ ze mną. Pokazywał mi swój wielki, który mu na Jasnej Górze ofiarowano”.

Rozmowy z F. Fochem streszcza malarz polski w artykule „Moich kilka dni w Troisfontaines” („Ilustr. Kurj. Codz.” nr. 115, 28.IV), podkreślając urok specjalny tego kraju dla Polaka: „Troisfontaines leży o 4 kilometry od Morlay, stolicy du Finistère w Breta-

nji, też ojczyzny paproci i kamiennych „calvaires”. Na obu ramionach krzyża stoi po kilka kamiennych również figur apostołów i jest tych „calvaires” tyle, co naszych drewnianych w Polsce... Jeżeli w całej Francji marszałek chodził w glorii chwały i adoracji, to w Bretanii był bożyszczem tak, jak i generał Weygand, którego posiadłość również koło Morlay w sąsiedztwie marszałka leży”.

Atmosfera dobroduszości i szczerości, jaka panowała przy obcowaniu znanego malarza ze znakomitym wodzem, pozującym mu do portretu, tłumaczy wiele z powiedzeń Focha, podanych w tym artykule, z których jedno zwłaszcza było charakterystyczne:

„A propos de Winterfeldt (generał który towarzyszył Erzbergerowi, przy zawieraniu rozejmu), jak różne są jednak umysłowości nasze i niemieckie. W dzień naszej klęski pod Sedanem nie mogliśmy w całej armji znaleźć ani jednego z naszych generałów do podpisania aktu kapitulacji — wreszcie poświęcił się na tę wieczną hańbę generał Wimpfen, tylko żeby rdzennie francuskie nazwisko na tym akcie nie figurowało. Tymczasem generał von Winterfeldt sam się ofiarował towarzyszyć Erzbergerowi, twierdząc, że mnie zna dobrze (!). Spotykałem go parę razy, jako attaché wojskowego w Paryżu. To wszystko”.

T. Gleyden.

NOWE DROGI POEZJI NIEMIECKIEJ

Ojcem *genre'u* poetyckiego uprawianego przez Erciha Kästnera*) jest Christian Morgenstern. Podczas gdy jednak opus Morgensterna było tylko reakcją na hipertrofię liryzmu, na przesyt koturnowo-nastrojowy, Kästner pisze w myśl szerokiego programu. Morgenstern przewyciężył w sobie liryka, ażeby „w doskonałych a zwarjowanych” wierszach pokazać, że formalnie skończony wiersz działa, chociażby jego tematem był przedmiot tak niepoetyczny jak trójkąt, sześcian, czy Kdziura w płocie. Kästner też ucieka przed patosem, przed rozrzewnieniem. Ale z innych powodów i dla innych celów. Płakać? dziś? To nie jest fair. Kästner chciałby mówić o smutnych rzeczach i śmiać się przytem. Grymas twarzy, na której śmiech się zmagają z płaczem jest grymasem jego poezji.

Wiersz zatytułowany „Rocznik 1899” zawiera in mice ideologję Kästnera. Zbrodnia wojny światowej oraz wielkie nic, które nastąpiło po niej, to dwa bieguny, dookoła których krąży globus jego twórczości. Kästner jest *tematycznie* krytykiem załganych stosunków społecznych, socjalnych, etycznych, *formalnie zaś komikiem*, ekwilibrystą, poetyckim linoskoczkiem. Po jego linji szli przed nim śmiały i wszechstronny Peter Pauter (Tucholski), szampjon wirtouzerji słowa Joachim Ringelnatz i najszlachetniejszy przedstawiciel tego kierunku Bert Brecht.

Kästner zatytułował swoje wiersze „Herz auf Taille”. Będzie więc w nich mowa o fryzowanych sercach, które przestały czuć, cierpieć, kochać, o sercach w gorsecie a nie o serdecznych, gorących sercach.

*) Erich Kästner: „Herr auf Taille. C. Weller Co. Verlag. Leipzig-Wien, str. 110.

Znieczulone serca mają przedewszystkiem ci co wojnę głoszą:

„Kennst du das Land, wo die Kanonen blühen?
Du kennst es nicht? Du wirst es kennen lenen!
Dort stehn die Prokuristen stolz und kühn,
In den Büros, als wären es Kasernen“.

A jak wygląda świat powojenny? Kästner widzi wszędzie zdziczenie, upadek, mechanizację dusz, zbanalizowanie życia erotycznego i wali z cyniczną pasją w zmurszałe fundamenty świata. Wiersze obnażające zakłamanie erotyczne, malujące typki i męty wielkomięskie kontynuują świetnie twórczość Klabunda („Harfenjule“) i Kerra („Caprichos“).

Kästner patrząc na zmierzch Europy nie upada na duchu:

„Wir sind die Jugend, die an nichts mehr glaubt.
Und trotzdem Mut zur Arbeit hat. Und Mut zum Lachen.
Kennt Ihr das überhaupt?“

Poznajemy tu tragiczną postawę Brechta wobec groźnej prawdy życiowej.

Mimo że w całości pozytywnie oceniam dorobek Kästnera, muszę mu zarzucić, że jego pomysłowa dialektyka, częstokroć jest równie pusta i fryzowana jak przez niego atakowany świat. W obawie przed sentymentem, przed wszelkim romantyzmem, ukrywa Kästner swój smutek za parawanem paradoksalnego stylu, który nierzadko przechodzi w fajerwerk pozbawiony istotnej treści. Traci on równowagę duchową przy tych koziołkach. Jego oburzenie znajduje ujście w bladym kalamburze. To co było źródłem jego oryginalności i siły, to jest jego zdecydowana ucieczka przed liryzmem, staje się powodem jego klęski. Najlepsze wiersze pisze Kästner, gdy mu się udaje szczęśliwie dozwoląc cynizm z liryzmem, gdy jego wzruszenie jest tak treściwe, że nie utonie w paradoksie. Wtedy nas jego talent olśniewa. Nie wiemy czy mamy śmiać się, czy płakać. Taką jest kołysanka „śpiewana przez ojca“ Oto pierwsza zwrotka:

„Schlaf ein, mein Kind! Schlaf ein, mein Kind!
Man hält uns für Verwandte.
Doch ob wir es doch wirklich sind?
Ich weiss es nicht. Schlaf ein, mein Kind!
Mama ist bei der Tante...“

Tam Kästner jest ciekawy jako symptom współczesnej sytuacji intelektualnej. Jako dokument czasu. I to nienajgorszy.

I. Bergman.

O SZKOŁY DLA BIBLIOTEKARZY w U.S.A

Zdanie, jakby biblioteką potrafił kierować każdy, kto ma do tego ochotę, panuje wszechwładnie w kołach, stojących zdala od życia bibliotecznego, ci natomiast, którzy wiedzą, jak bardzo złożona i odpowiedzialną jest ta praca, wypowiadają się przeciwko pra-

cownikom nie mającym specjalnego wykształcenia. Graesel, w swojej książce o bibliotekarstwie (Handbuch der Bibliothekslehre, Leipzig), wypowiada zdanie, iż dobrym bibliotekarzem może być człowiek, posiadający następujące zalety: zamiłowanie porządku; całkowite oddanie się sprawie; obowiązkowość — a jednocześnie bibliotekarz musi być polihistorem posiadając dobrą pamięć, zamiłowanie do kolekcjonerstwa, zdrowy rozsądek („commow sense“) i... ładny charakter pisma.

Bibliotekoznawstwo jest specjalną nauką i to nauką skomplikowaną, graniczącą i zazębiającą o cały szereg najróżnorodniejszych dyscyplin wiedzy; bibliotekarz, polecający książki czytelnikowi i uczestniczący w układaniu katalogów, oprócz wiedzy specjalnej, obowiązującej naskutek wymagań techniki bibliotecznej, musi znać jeszcze literaturę, historję i nauki przyrodnicze. Wszystkie te przedmioty, zarówno ogólne, jak i specjalne wykładane są w szkołach dla bibliotekarzy.

W chwili obecnej istnieje w Ameryce około 20-u szkół i szereg letnich kursów; czas trwania nauk w szkołach waha się od 1 do 3 lat. Wszystkie te instytucje wydają różnego rodzaju świadectwa; dyplomy; wymagania egzaminacyjne są tu nieraz o wiele większe niż w niejednym z uniwersytetów. Słuchaczy szkół bibliotecznych zaznajamia się nie tylko z historją powstania książki, sztuką drukarską, rolą książki w życiu społecznym i t. p., lecz również organizuje się dla nich specjalne wycieczki do lepszych bibliotek państwa, ażeby mogli się oni przekonać naocznie, jak się wprowadza w życie te zasady, które się im wyklada w szkole.

Chcąc się dokładnie zaznajomić z obchodzącym nas tematem, zatrzymamy się bliżej na organizacji szkoły w Olbeni (przedmieściu N. Yorku), ponieważ jest ona szkołą najlepszą i najbardziej charakterystyczną, została założona najwcześniej (1887) i była wzorem dla innych szkół tego typu. Organizacja tej szkoły w chwili obecnej jest następująca: kurs nauk, po którym wymagana jest roczna praktyka, trwa dwa lata. Kandydatów obowiązuje średnie wykształcenie. Z powodu jednak nawału podań, pierwszeństwo mają ci kandydaci, w których szkołach, w ciągu ostatniego roku, poświęcano najwięcej uwagi nauce języków obcych, historii i literaturze (a mianowicie 9 godzin tygodniowo na literaturę, 6 na historję i po 5 na języki niemiecki i francuski); przedmioty te, obok nauk społecznych i ekonomicznych, należą do najważniejszych w ogólnym wykształceniu przyszłego bibliotekarza. Według stopnia ważności, języki w omawianym wykształceniu, są uszeregowane w następujący sposób: język niemiecki, francuski, łacina, hiszpański, włoski. Umiejętność swobodnego przekładu z języka obcego należy do wymagań obowiązkowych. Kandydat do szkoły nie może mieć lat mniej niż 20, wymaga się od niego oprócz cech wymienionych, niektórych właściwości przyrodzonych jak np. dobrego zdrowia, siły, zręczności i dążności do jaknajszerszego wykształcenia.

Od r. 1896 przejście z młodszego kursu do starszego nie jest obowiązkowe, ponieważ kurs młodszy jest całością zamkniętą. Wyższy kurs jest niejako dopełnieniem wykształcenia; napływa tu wiele podań od absolwentów innych kursów i bibliotekarzy praktyku-

DON KICHOT CERVANTESA NA TLE SWOJEJ NARODOWOŚCI

jących, chcących dopełnić swe wiadomości. Ci ostatni mają prawo słuchania tych wykładów, które uważają za stosowne z kursu obydwu lat, zdarza się nieraz, iż w ciągu jednego roku przerabiają oni kurs dwuletni i składają odpowiednie egzamina; do tego stopnia praktyka ułatwia im naukę teoretyczną. Lecz większość studentów stanowią absolwenci dwuletniego kursu. Kwestjonariusz, który muszą oni wypełnić, zawiera szereg charakterystycznych pytań, jako to, ile słów pisze na minutę, jak przekłada z obcych języków — z słownikiem czy bez, jaki jest jego stosunek do pracy w księżnicy, czy pracował już poprzednio, jakie motywy pchnęły go w tym kierunku i t. p. Dzięki temu zapewne, iż kadry pracowników zapewniają ludzie radośni, oddający się z entuzjazmem pracy w bibliotece, można wyłutaczyć fakt, iż księżnice amerykańskie dochodzą do tak wspaniałych rezultatów.

Kandydaci, którzy złożyli podania, nie przyjeżdżają do Oldeni celem złożenia egzaminu wstępnego. Bowiem kilku egzaminatorów wyjeżdża do określonych punktów Stanu (N. Y.) i w trzeci piątek każdego czerwca egzaminują zebranych kandydatów. Egzaminu z języka angielskiego niema — lecz niedostateczna znajomość języka, która ujawni się w pierwszym roku nauki powoduje, iż student nie może otrzymać świadectwa i wskutek tego musi opuścić szkołę.

Rok szkolny zaczyna się w październiku, a kończy się w czerwcu, licząc w ten sposób 38 tygodni. Tydzień pracy składa się z pięciu ośmiogodzinnych dni zajęć. Każdy student ma swój stół do pracy i czytania, przy którym może pracować od g. 8-ej rano do 10-ej wieczór. Studentom poleca się pracować minimum 8 godzin dziennie i conajmniej jedną godzinę poświęcać na spacer. Podczas świąt Bożego Narodzenia zajęcia są przerywane (24.XII do 2.I), lecz instytut jest otwarty dla zajęć praktycznych. Na wiosnę studenci wyjeżdżają (na dni 10) do najlepszych bibliotek państwa, celem ich gruntownego poznania, co wchodzi w skład zajęć obowiązkowych. Podczas tych letnich miesięcy wakacyjnych wielu z pośród słuchaczy wstępuje dla praktyki do bibliotek, inni pracują w domu nad pogłębieniem zdobytych wiadomości. wogóle — podczas lata pracują niemal wszyscy — tak iż na odpoczynek czasu zostaje niewiele.

Wykładowcami szkolnymi są kierownicy różnych działów biblioteki państwowej w New-Yorku; za wykłady swe nie otrzymują oni specjalnego wynagrodzenia, gdyż zajęcia te wchodzi w skład obowiązkowej ilości godzin, za które otrzymują oni stałą pensję. Słuchacze urodzeni w stanie N.-Yorku płacą za kurs dwuletni 100 dolarów, urodzeni w innych stanach — 150. Na coroczne zwiedzanie bibliotek płaci się dodatkowo 40 dolarów, na zakup obowiązkowych książek — 20 dol. Mieszkanie z utrzymaniem kosztuje od 5 do 8 dolarów tygodniowo, tak, iż utrzymanie roczne, nie licząc ubrania, drogi, opłat za przejazd i wakacyj dochodzi do 400 dolarów. Na pierwszym kursie słuchaczom nie wolno zajmować się pracą poboczną; na drugim, jeśli zechcą i zaistnieje możliwość — mogą otrzymać jakieś płatne zajęcie w miejscowej bibliotece.

Ludwik Ron.

W jednym z najświetniejszych dzieł teatru hiszpańskiego w „Życiu Snem” daje Calderon de la Barca symboliczną i proroczą wizję przeznaczeń swego kraju. Hiszpanja, jak ów bohater sztuki, Segismundo, opuściwszy nędzną jaskinię swego bytu historycznego i stawszy się władczynią ludów, których nawet nie znała, musiała po szeregu triumfów i sukcesów powrócić zapytując, znów za przykładem Segismundo, czy cała ta jej historia była istotnie rzeczywistością, czy tylko snem?

Zaden naród nie może żyć bez potęgi i sławy — zaś naród hiszpański poznał w swej przeszłości wszystkie tej sławy rodzaje, unieśmiertelniając swego typowego bohatera, ducha swej rasy, w dziele Cervantesa. Ulisses Homera jest grekiem, hiszpańskim Ulissem jest Don Kichot. Gdybyśmy poza Hiszpanją szukali Ulissesa nowoczesnego, znaleźlibyśmy go u narodów anglo-saskich w Robinsonie Cruzoe; włoskim Ulissem — teologiem jest sam Dante w swej „Boskiej Komedji”, niemieckim Ulissem, doktor Faust.

Niema czytelnika — mówi Baret — któryby w czynach i mowach Don Kichota i jego giermka nie odnalazł wizerunku własnego życia, podległego dwóm ogólnym czynnikom: wyobraźni, która wyolbrzymia przedmioty, upiększa je i barwi w pryzmacie złudzeń i zdrowym zmysłem, które ograniczają wszystko do zwykłych granic, rozpraszają wszelkie iluzje, ukazując nam zimną i nieubłaganą rzeczywistość”.

Z tego punktu widzenia komentowany, będzie dla nas Don Kichot nie tylko krytyką ksiąg rycerskich, lecz i odtworzeniem wieczystej walki idealizmu z realizmem. Idealizm ten dla najgłębszego komentatora Cervantesa, Miguela de Unamuno — „to komiczny heroizm rasy iberyjskiej”, przepalający płomieniem wiary grudę jałowej codzienności, podrywający ku górze myśli spasionych giermków i z dziewczki od krów czyniący drugą Beatrycze. Don Kichot widział olbrzymów tam, gdzie były tylko wiatraki. Ponieważ jednak z widzenia tego wypłynęło pragnienie czynu i bohaterstwo — to znak, że Sancho patrzył źle, a Don Kichot dobrze.

Giordano Bruno „dormitantium animorum excubitor” pisze, że miłość heroiczna jest własnością natur wyższych, zwanych „insani” nie dlatego, że nie wiedzą („non sanno”), lecz, że „nad-wiedzą” („Sopra sanno”). Budzicielem dusz był „in sano” — Don Kichot. Nie walczył dla Yseult, która jest symbolem „wiecznego ciała”, nie dla Beatryczy „symbolu teologii”, nie dla Heleny, będącej wcieleniem kultury, ani dla Małgorzaty — wcielenia ludu. Wchodził w szranki rycerskie dla Dulcyni. W tem słowie jest wszystko: chimera i pragnienie sławy, głód nieśmiertelności i heroizm rasy. Pozostawiając poza nawiasem rozważań to, co ongiś było aktualne, jako krytyka zanikającego rodzaju literackiego, wydobędziemy z dzieła Cervantesa pierwiastek nieśmiertelny: kichotyzm, jako syntezę rasy, kichotyzm, jako religię narodową. Naród hiszpański, pozbawiony zmysłu praktycznego żywił

zawsze wzgardę rycerską do utylitaryzmu „terre à terre”. Był narodem rycerzy, świętych i bohaterów. Nawet Sanczo, personifikujący „praktyczność” hiszpańską, to idealista w gruncie rzeczy. Wulgarny pasibrzuch, należący do innej narodowości, pozostałby głuchy na wołanie szaleńca; hiszpański Sanczo rzucił dom i rodzinę, aby pójść za rycerzem, którego zresztą uważał za fantastę i głupca. Nawet na dnie duszy prostaka drzemały tradycje rycerskie, umożliwiające restytucję średniowiecza w okresie pełnego „Renacimiento”. Genjusz Hiszpanji w literaturze i sztuce był zawsze heroiczny i rycerski. Tłumaczy się to tem, że gdy inne narody niosły krzyż do Ziemi Świętej, nad Bostor i do Egiptu, Hiszpanie przez siedem wieków na swej własnej ziemi prowadzili wyprawy krzyżowe. Większość słynnych pisarzy hiszpańskich była żołnierzami: Calderon, Cervantes, Garcilaso, Ercilla. Autorowi Don Kichota dało to nawet asumpt do dość ryzykownego twierdzenia, że ludzie nauki i sztuki byli zawsze dobrymi żołnierzami. Naród wydawał ze swego łona nieustannie ludzi epopei, którzy, zwyciężywszy Francuzów pod Pavią, Włochów w Rzymie, Turków pod Lepanto, zanieśli sztandar hiszpański nad archipelagi dalekich mórz. Hiszpanja wyrosła na pierwszą potencję wśród krajów Europy, — ale mimo to, ten mały kraj o kilku milionach mieszkańców przypominał żebraka, umierającego z głodu na górze złota. Ów biedak planował utworzenie wszechświatowego cesarstwa rzymskiego, ponieważ zamiast zmysłu rzeczywistości miał wiarę w protekcję bożą. Dlaczegożby Bóg nie miał dopomóc ludziom żywym, skoro za Jego sprawą, trup Cyda Campoamora podtrzymywany przez swych towarzyszy na koniu, wygrał bitwę?

Czy klęski całego narodu nie wypłynęły z tych samych przyczyn, co klęski Don Kichota, z dysproporcji między nadmiarem aktywizmu i zamierzeń, a środkami, będącymi do rozporządzenia? Naród walczył zawsze, jak jego narodowy bohater, wędrowny król Cyd, któremu za owoc ostatecznego zwycięstwa wystarczała intencja walki i jej hazard. Wojska Hiszpanji obdarte, brudne, mające za żołd rabunek, wałęsały się po całej Europie, walcząc o rzeczy, które zupełnie Hiszpanji nie dotyczyły. A gdy wreszcie te wyprawy, godne hidalga z Nancy skończyły się klęską, miast obudzenia i wytrzeźwienia nastąpił szal jeszcze większej megalomanji. „Gdy lew hiszpański wstrząsa grzywą, cały świat drży ze strachu”, pisał w okresie upadku i dekadencji jeden z poetów, a Cervantes znów w Don Kichocie dał świetny, symboliczny obraz tej narodowej pychy.

Don Kichot, rozbrojony, powalony na ziemię, nie mogąc nawet ruszyć ręką, zachowuje się jak Herkules i z całkowitą nieświadomością swego smutnego stanu, obiecuje, że będzie nagradzał lub karał. „Lwięta przeciwko mnie?”. Woła w innej okazji, bardziej lwi, niż wszystkie lwy razem wzięte.

Oto synteza Hiszpanji w XVII wieku, w dniach rzekomej potęgi, głód hiszpański był prawdziwie klasyczny. Szczerzył zęby z dzieł Cervantesa, śladem Gongory chodził w podartych butach, żebrał na drogach publicznych wraz z de Rojas. Filip IV kazał zawiesić w kościołach skarbonki na zbieranie datków na nieszczęśliwego króla Hiszpanji. Jednocześnie poci sławili swój kraj w podobny sposób, jak Rzymianie

z epoki Augusta sławili Rzym. Naród żebraków, głodomorów i od siedmiu boleści hidalgów nazywał się „el puelbo que al mundo aterra”. Jedynie nieświadomość własnych sił i arogancja pozwoliły Don Kichotowi rzucić się na wiatraki.

Szlak jego klęsk był szlakiem dawnych klęsk Hiszpanji. Powrót z wyprawy na zdobycie chimery wypadł równie żałośnie. Czytając historję Hiszpanji i czytając Don Kichota, mamy te same nadzwyczajne kontrasty, jakie istnieją między iluzją poetycką, a rzeczywistością, między zuchwalstwem i wielkością pragnień, a karlemi rozmiarami środków.

Tymczasem fakt rzucenia się na wiatraki nie jest wcale tak prostym negatywnym zagadnieniem, jakby się wydawać mogło. Aktywność Don Kichota symbolizuje tutaj złudzenie życiodajne, owo „Credo quia absurdum”. Tertuljana, które powtarza najgłębszy komentator Cervantesa, Miguel de Unamuno, lękając tam, gdzie inni się śmieją i dając nieznuzenie za panem swoim, szaleńcem z Manczy, po kamienistych ścieżkach jego życia.

Złudzenie życiodajne, kichotyzm, zbawi już nie Hiszpanję, lecz ludzkość. Hiszpanja, która kiedyś odkryła „Nowy Świat” zdobędzie w przyszłości świat ducha. Ten świat to pożądanie wiecznego życia w śmierci, walka o Dulcyneę, będącą uosobieniem pośmiertnej sławy. Jak zwyciężony Don Kichot do swej wioski, powróciła Hiszpanja do swych pól, pobita przez Amerykę, ale nie po to, aby umrzeć. Po śmierci Don Kichota przywdzieje zbroję Sanczo Pansa, który był kichotystą, gdyż serce jego brzmiało rezonansem wiary. Jeszcze jej nie przywdział, jeszcze Hiszpanja rządzi głucha jak pień na wołanie poezji, siostrzenica Don Kichota, Antonia Quijana, więc trzeba się modlić do Boga za Hiszpanję, aby się nie stała podobna do Europy, która umiera, jedząc jak Sanczo, podczas gdy trzeba żyć, umierając, jak Don Kichot.

Mesjanista narodowy Don Miguel Unamuno zмага się bohaterstko z falangą miejscowych pozytywistów. Fanatyczne pragnienie, aby cała Europa uczyła się od Hiszpanji, czyli się hiszpanizowała, ma u swych podstaw głęboką wiarę, w to, że naród Cervantesa jest narodem wybranym.

Sanczo Pansa i Don Kichot, stojący przed wiatrakami to Europa i Hiszpanja. Jedynie strach każe widzieć Sanczowi przed sobą wiatraki a nie olbrzymich gigantów, rozsiewających zło po świecie. Wiatraki te miały zboże, a ludzie w zaślepieniu jedzą z tej maki chleb. Dzisiejsze wiatraki przybrały kształt lokomotyw, dynamo, turbin, mitraljez, automobilów, telegrafów bez drutu i łodzi podwodnych. Jedynie trwoga, sanczopansowa trwoga, każe nam padać na kolana przed olbrzymimi gigantami i prosić ich o zmiłowanie. W końcu rodzaj ludzki wyzionie z nudy ducha na progu kolosalnej fabryki, wyrabiającej eliksir długiego życia; Don Kichot zaś będzie żył dalej, ponieważ szukał zbawienia w samym sobie i odważył się rzucić na wiatraki.

Oto kichotyzm, „komiczny” heroizm rasy przeciwstawionej materialnej kulturze współczesnego świata, walka o zdobycie duchowego królestwa wiary, a jeśli już klęska, to raczej z winy lancy lub szkapy, niż własnej!

Edward Boyé.

ODPOWIEDZI

„GŁOSU PRAWDY“ LITERACKIEGO

Leon Z. Lwów: Słabe. Treść rozumna, opracowanie zgoła banalne. Nie można przecie operować formą zużytą, nadużytą, w której wypowiedziano się już tyle razy i tak dosadnie. Wie Pan z pewnością lepiej od nas!

Ger. Ł. Nowy Korczyn: Z całą pewnością, stanowczością, spokojnym sumieniem radzimy nie pisać. Nie pisać ani wierszy, ani prozy. Tak, tak! Jeżeli ktoś, jak Pan posługuje się tak banalnymi rymami, rytmami, obrazami, to widać, że nie ma ani śladu, ani cienia talentu.

Pop... Pisze Pan: O ileż lepiej orjentowałby się pisarz, gdyby o jego powieści, poezjach, dramacie mówili nie tylko uświęceni, czy wyświęceni krytycy ale i czytelnicy... Niestety na niwie naszego zacofaństwa uważa się publiczność teatralną naprzykład, mimo wszystko, za bezduszną masę i nie żąda się od niej nic więcej, jak tylko zapłaty za bilet. Wedle naszego mniemania nie ma Pan słuszności. Każdy czytelnik może chwycić za pióro i pisać. Stosunek redakcyj do czytelników jest zgoła inny, niż Pan sądzi. Każda redakcja bardzo czujnie śledzi głosy swych czytelników, udziela im wiele miejsca na swych łamach. Przecież, ściśle sprawy biorąc, nie redakcje tworzą czytelników, lecz czytelnicy redakcje. Radzimy przeczytać dramat Goetla, wyszedł u Gebethnera. Jest Pan w błędzie. Nie chodzi przecież o fotografię historyczną, lecz o rozgrywkę ideową. Historia jest w tych wypadkach zawsze pretekstem. Cała wielkość i głębia tego pretekstu na tem właśnie polega, że można go rozmaicie naświetlać. Bez owej rozmaitości w sposobach naświetlania, historia przestałaby nas obchodzić i zginęłaby w ponurem zapomnieniu.

Waw. Cz.: Drzwił — nie, tamte oba pójdą, oczywiście. Chyba niech Pan nie idzie już drogą technicznych ćwiczeń, — jak w owych drzwiach. Szukać dalej, rozwijać ów rytm, tych właśnie dwóch pozostałych wierszów, które wydrukujemy. Są dobre, płynne, mają rytm!

J. J. Olbr. Zakopane: Przypowieść może i aktualna, niestety bardzo źle rymowana, wogóle pozbawiona wszelkiej wartości poetyckiej.

Wiktor Pac. W-wa: Niechże Pan siada obok nas, razem to przeczytamy. Pisze Pan:

Syn północy, palony skwarem w tyglu lipców
Lub styczniami spragniony ciepłych, wonnych blasków,
Słuchając wierszy brzmiących, jak traw wonne skrzypce
na których gra blask słońca smyczkiem złota płaskim i t. d. Co Pan wyrabia z tym swoim czytelnikiem? Jeżeli Pan mówi „tygiel lipców“, to mimowoli przecie czujemy się — niejako w tyglu. Coś małego jakiegoś zamknięte naczynie. Z tych tyglów wylewa Pan swego czytelnika do owych „styczników“, potem zaraz idą „trawo-skrzypce“, pocierane smyczkiem słońca i to

„do tego“ jeszcze płaskim. Nie można tak pisać. Czytelnik też wkońcu jest człowiekiem, — nie może Pan wymagać od niego tak szybkich i obłądnych zdolności asymilacyjnych!

Teka, Kalisz: Niech Pan takiej prozy nie pisze, bo to do niczego, — że się tak wyrazimy, — nie prowadzi! Trzeba przecie wiedzieć co się pisze, deklamacja, patos nie zastąpią owej świadomości. Wiersz słaby. Radzimy szukać i próbować określonej jakiejś formy, przede wszystkim zaś pisać z zamiarem powiedzenia czegoś konkretnego.

Czytelnicze artykułów p. Wielopolskiej: Wiersz nadesłany przeczytaliśmy uważnie. Szlachetne są myśli i uczucia, które Pani wyraża, niestety forma nie jest oryginalna i własna. Posługuje się Pani poetycką formą literatury religijnej, psalmów, litanij i t. p. Bardzo trudno w tej właśnie formie być sobą i pozostać sobą. Forma ta bowiem została przecie uświęconą wiarą i tradycją. Posługując się taką formą na użytek własny, prywatny niejako, — popełniamy jakby świętokradztwo. Trzeba więc szukać swego własnego wyrazu poetyckiego.

Adolf G. Przemyśl: Paniel Te wszystkie puhacze, podwoje, opary, poświęty, — ten mały, nieszczęśliwy sos pseudoromantyczny bezsensowny, niech Pan wyleje z swej kuchni poetyckiej. Radzimy zacząć jakieś porządne ćwiczenia na temat wyrażania wzniosłych uczuć własnymi, codziennymi słowami. Jeżeli uda się to Panu, — można zaczynać układanie wierszy. Jeżeli nie, — wszystko przepadło, nie napisze Pan w swem życiu ani jednego dobrego dwuwiersza, ani jednej dobrej zwrotki.

Darjasz M. Przecież to nie jest nowela! Ani opowiadanie, ani szkic, — nic gotowego. Obserwacje bardzo charakterystyczne, trzeba je teraz jednak ułożyć dopiero w jakieś opowiadanie, dać temu jakąś akcję. Nie pokusił się Pan nawet o to. Wiersze — niemożliwe. Owe zachody — krosty, i tego rodzaju ujęcia rzeczy, rzekomo modne, niedociągnięte nigdy, ostatecznie, stale szarżowane! Czyż nie możecie wymyślić czegoś nowego, czyż jeden za drugim musi wciąż powtarzać tę samą, małą, ubogą formułkę?!

Marjan Ord. Tak dalej pisać nie warto i nie trzeba. Cóż z tego, że wylicza Pan jedno za drugim, — „noc, cisza, płot, słowik księżyc, zagrody, postać, czarność szybkość, przemyskanie“. Ba, — może Pan dodać jeszcze cztery razy tyle, — i też nie osiągnie Pan żadnego wrażenia. W wyliczeniu takim musi być jakiś sens, umiar, gradacja. Słowem, — forma!

Czesław Ober. Kielce: Ma Pan zupełną słuszność, podziwiamy pańskie przekonania. Niechże Pan działa w imię tych ważnych i słusznych spraw. Oczywiście. Co innego jednak pisanie: Tu trzeba myśli wyrazić w odpowiedniej formie.

Tej formy artystycznej nie znalazł Pan jeszcze i, mamy wrażenie, że nie uda się Panu znaleźć, nie ma Pan bowiem do tego odpowiednich zdolności. Nie każdy może być wodzem, adwokatem, inżynierem, nie każdy może być pisarzem. Do wszystkiego trzeba jednak wkońcu odpowiednich zdolności.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: TADEUSZ H12